DZIŚ I JUTRO

PISMO DLA MŁODZIEŻY ŻEŃSKIEJ

WYCHODZI 1. i 15. KAŻDEGO MIESIĄCA.

ROK III. 15. WRZEŚNIA 1927. № 16.

SPOTKANIE.

W. GERSON - J. CHEŁMOŃSKI.

W czterech salonach Tow. Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie rozmieszczono obrazy dwóch artystów polskich. Jeden z nich umarł już ćwierć wieku temu — drugi już lat dziesiątek. Czy przypadek pomieścił obu tych artystów razem, czy jakaś myśl świadoma, dość, iż znaleźli się obok siebie, tak jak kiedyś, za życia obok siebie pracowali.

Czemże oni byli dla siebie wówczas, jeden już dojrzały wiekiem — drugi zaledwie wchodzący w okres wieku młodzieńczego.

Około roku 1868 w pracowni malarskiej Wojciecha Gersona w Warszawie pracują dwaj artyści, Gerson już około lat czterdziestu liczący i osiemnasto letni Chełmoński. Niedawno przedstawiono go Gersonowi, pokazano próby prac chłopca, róbione w rodzinnej wsi Boczkach, gdzie się urodził, spędził lata dziecięce, gdzie duszę i oczy oczarowało mu piękno polskiego krajobrazu. Więc pokazano te próby malarskie Gersonowi, który obejrzawszy je orzekł:

— Zdolny, bardzo zdolny, warto kształcić.

A w duchu dodał, nie chcąc chłopca odrazu w dumę wbijać:

— Talent, talent niepospolity!



W. Gerson. Autoportret.

Od tej chwili zaczęło się współżycie malarskie nauczyciela i ucznia. W dwóch końcach pracowni, każdy malował oddzielnie. Gerson wówczas już malarz wyrobiony, malował obrazy swoje — Chełmoński uczył się i studjował. A studjował z zapałem i żarliwością wielką.

Od czasu do czasu Gerson odrywał się o od swojej roboty i podchodząc z paletą w ręku do pracującego chłopca kierował, uczył, wyjaśniał tajemnice natury i sposoby najwierniejszego jej odtworzenia. A chłopiec słuchał z płomieniem w błękitnych oczach i znów brał się do pracy z takim zapałem, że nieraz profesor, złożywszy paletę i pędzle, wychodził z pracowni, a on zostawał, zapominając przy robocie o świecie całym.

Kiedyindziej uczeń wstawał od swoich stalug i na palcach podszedłszy do pracującego nauczyciela, stawał za jego plecami, śledząc z zajęciem śmiałe i pewne pociągnięcia pędzla, kierowane wyrobioną ręką. I co dla innego ucznia byłoby tylko zabawą, ciekawostką albo podnietą do naśladownictwa, dla tego niezwykłego chłopca było tylko zorjentowaniem się w drodze, na której wynajdywał sobie własne swoje dróżki. Naśladować kogoś? Nie! Nigdy! Jedną tylko naturę, bo tę Bóg dla wszystkich stworzył. Ale naśladować innego człowieka i okradać go. Nie! Chełmoński tego nie chciał a „majster", jak zwykł był zwać Gersona — bronił.



W. Gerson. Dziewczyna z kurą.

Nieraz za to podprowadzał ucznia do okna pracowni, skąd widać było kawał nieba, kłębiące się chmury, bliższe i dalsze budowle, jakąś zabłąkaną pośród murów zieleń i mówił:

— Patrz! zapamiętaj! chwytaj! Oto jak zmieniają się masy chmur, oto jak się krzyżują linje budynków, oto jaką mają barwę te drzewa bliższe, a jaką te dalsze, jak to je powietrze przegradza i mgłą powleka...

I tak szły godziny, dnie, lata...

Dobiegał rok 1872, cały szereg kololegów Chełmońskiego opuścił Warszawę, aby zagranicą w Monachjum, Paryżu dalej pracować, uczyć się, a przedewszystkiem rozglądać się w tym nowym, innym świecie sztuki. Pojechali, a Chełmoński został, bo nie miał za co jechać. I wtedy to namalował mały obrazek, pełen uczucia, przedstawiający „Odlot żórawi". Lecą żórawie gdzieś, ku jasnym zorzom: a jeden pozostał samotny, ze złamanem skrzydłem.

Przyszła i dla niego wreszcie szczęśliwa chwila odlotu — i on za kolegami pociągnął ku zachodowi, do Monachjum.

I tu rozchodzą się drogi nauczyciela i ucznia. Gerson, wierny swemu przywiązaniu do kraju, zostaje w Warszawie i tu przez całą resztę życia rozwija swą artystyczną działalność. Ma już zresztą poza sobą cały szereg prac wystawianych w kraju i zagranicą.

Cóż one przedstawiają? Oto po za krajobrazami, które zbierał po całej Polsce chodząc, jeszcze we wczesnej młodości po kraju i zapełniając nimi całe stosy albumów, oddawał się Gerson malarstwu figuralnemu. Komponował i malował obrazy, w których umieszczał całe grupy postaci ludowych i historycznych. Więc mamy obraz „Górale w szałasie", w którym jakiś stary baca wygrywa na fujarce ku zachwytowi otaczających go młodych juhasów. „Dziewczyna z kurą", „Oracz", „Dzieci góralskie", igrające z promieniem słonecznym i wiele innych.



W. Gerson. Krzyżacy w Polsce.

Historyczne opowiadają nam o rozmaitych chwilach dziejów naszych. Jest więc „Zygmunt August przed portretem Barbary", jest „Sobieski sadzący drzewa w Wilanowie", jest „Łokietek w Ojcowie", „Królowa Jadwiga i Dymitr z Goraja". Prócz tego wielkie malowania ścienne uosobiające Trzy sztuki Naukę i Poezję. W chwilach wyjazdu Chełmońskiego, Gerson miałjuż po za sobą około 130 obrazów, nie rachując studjów i szkiców przygotowawczych.

Polska i jej lud, Polska i jej historja, Polska i jej krajobraz — to były trzy tematy, które ukochał i w swoich obrazach przedstawiał, a w owej pamiętnej dla młodego ucznia chwili odjazdu, zabierał się właśnie do dwóch, następujących po sobie wielkich obrazów historycznych, każdy o dwudziestu kilku postaciach naturalnej wielkości, a przedstawiających jeden Kiejstuta i Jagiełłę — drugi Kopernika, wykładającego swoją teorję w Rzymie. Od tej też epoki zaczyna się czas największej twórczości i pracy tak natężonej, że na dwa życia by jej nie starczyło. Co raz to nowe ogromne płótna malarskie rozpięte na blejtramach, zapełniają sie tłumem postaci, już to ilustrując jakiś fakt historyczny, już to uosabiając postacie świętych, bo i obrazów religijnych namalował Gerson ilość niemałą. Kościół Wszystkich Świętych w Warszawie posiada ich aż trzy, między niemi kolosalnej wielkości „Chrzest Chrystusa".

Zatopionego w swojej pracy twórczej odrywa od niej dopiero szmer i gwar w sąsiednim pokoju. To schodzą się uczniowie lub uczennice na lekcje rysunku i malarstwa. Po chwili stalugi z rozpoczętym obrazem usunięto pod ścianę, ustępując miejsca młodzieży, pracującej przy swych rajsbretach, a „profesor" każdemu ma coś do powiedzenia, do zganienia lub pochwalenia.

— Proszę sprawdzić, przyjrzeć się dobrze, nie chcę żebyście mi wierzyli na słowo; przekonajcie się sami.

Tak zachęcał Gerson do samodzielnej pracy. Wyszli też z jego pracowni artyści

wielkiej miary, jak Chełmoński, Wyczółkowski, Stanisławski i wielu innych o znanych dziś nazwiskach, a każdy umiał inaczej, po swojemu na naturę patrzeć.

Do końca życia swego pracował Gerson w Polsce i dla Polski. Ilość obrazów, które namalował dochodzi do 300, nie rachując prac drobniejszych jak ilustracje do pism i książek. Z dużych obrazów należy jeszcze wspomnieć „Powrót jeńców za Kazimierza i Aldony“, „Krzyżacy w Polsce“, „św. Jan każący na puszczy“, a obok nich szereg krajobrazów tatrzańskich pierwszych w malarstwie polskiem z taką prawdą i prostotą odworzonych.

(Dok. nast.) *M. Gerson-Dąbrowska.*

ŚLADEM PRZĘDZY PAJĘCZEJ.

„Snuje pająk swoją nić
Snuje, snuje, snuje...
Tak nie może dłużej być!
— Gdzie się przed tym smutkiem skryć
Co mi duszę truje...“

Co do mnie uciekam od smutków wszelkich pod skrzydła opiekuńcze pracy. Systematyczna, wytrwała praca wiedzie mię w jasną krainę prawdy, szerokie otwiera horyzonty na zakryte cudowności świata. Nie wierzycie?

Ot pójdźmy, po tej choćby nitce pajęczej. Snują ją po polach małe, czerwone pająćzki kryjące się za lada szelestem; trzeba wielkiej zręczności, by je zaobserwować. Kto jednak nie lęka się wczesnego wstania, a jest ostrożny i cierpliwy, ten cichym, jesiennym rankiem podpatrzyć może tajemnicę babiego lata. Zwierzątko, najczęściej młode między 3--4 stadjum linienia się, szuka sobie nieco wyniesionego miejsca, kamyczka czy źbła trawy, staje naprzeciw wiatru tak, aby nitka, snuta z kądziołków odwłokowych, a przyczepiona końcem do ziemi, została wyprężona przez prąd powietrza. Gdy jest już dość długa, odgryza ją pajączek przy miejscu zaczepienia, odbija się nóżkami od podłoża i... żegnajcie mi pola ojczyste.

Nie patrzcie z lekceważeniem na małych lotników. Umieją oni na swych wątłych stateczkach przebywać 30—50 kilometrowe drogi, wznosić się na wysokość najwyższych wież kościelnych. Darwin obserwował całe chmary małych pajączków, jak opadły statek 100 km. od lądu oddalony, zaś kapitan innego okrętu opisuje to samo zjawisko na 350 km. od brzegów amerykańskich.

Spuszczają się te pajączki na ziemię zwijając powoli swoją linkę lotniczą. Lądują łagodnie, choć niezawsze dla siebie szczęśliwie.

Także praca snucia linek nie zawsze się udaje. Małych amatorów lotnictwa jest najczęściej bardzo wielu — nitki plączą się między sobą — trzeba pracę raz po raz na nowo zaczynać.

Ale dzięki tym nieudałym próbom pola nasze zasnuwa jesienią srebrzysta przędza babiego lata.

Mają te małe pajączki inny jeszcze gatunek przędzy. Nitki najczystszego jedwabiu. Na takiej to śnieżnobiałej pościółce hoduje się pajęcze potomstwo — istne królewięta z bajki. Snuje samiczka, jak to zaobserwował Henking, na hodowanych przez siebie pająkach, hamak czy daszek z jedwabiu, przyczepiony do dwu ścian jednego rogu klatki — wyściela go w środku miękką poduszeczką splątanych nitek — okrywa złożoue tam jajeczka grubą puszystą kołderką jedwabnej osnowy; a gdy wreszcie osnuje tak grubo, że wytworzy się owalna, jajowata kulka, wówczas przegryza miejsca przytrzymania do ścian i zaczyna śnieżnobiały kokon oplatać najprzód na szwach zielonym jedwa-

biem, potem zasnuwa go zupełnie zieloną powłoczką. Mama pająkowa nie rozstaje się nigdy ze swem potomstwem, tocząc między nóżkami zieloną kołyseczką tak długo, aż wszystkie wylęgłe pajączki nie wyjdą z osłonki, sadowiąc się na grzbiecie swej rodzicielki.

Naturalnie, że dla mamy pająkowej te maleńkie potworki są najcudniejszemi na świecie istotami. I ma ona o tyle rację, że przynajmniej są one odrazu małemi pajączkami, nie gąsienicami czem się różnią od owadów, podlegających przeobrażeniom. Różnic zresztą i w budowie ciała naliczyć można sporo: cztery pary nóg, a nie trzy jak u owadów, za to tylko dwa odcinki ciała tułogłowie i odwłok, brak czułków, oddychanie płucami, a nie tchawkami jak owady i tak dalej i dalej. Nic dziwnego, że wśród typu stawonogów wyodrębniono je jako specjalny rząd pajęczaków, stojący w pośrodku między owadami, a skorupiakami.

Miłość macierzyńska pająkow posuwa się często do heroizmu. Toczonego kokonu nie da się nigdy prawie odebrać samiczce bez uszkodzenia jej nóżek, tak uparcie broni ona swego skarbu. A gdy raz Henking odebrawszy kokon podłożył jej kulkę, owiniętą w osłonkę kokosową, ale przewyższającą dwukrotnie ciężar jej ciała; biedne zwierzątko nie przeczuwając podstępu, usiłowało ostatecznym wysiłkiem toczyć ją ze sobą, aż wreszcie po dwóch dniach przekraczającej jej siły pracy, padło martwe. Inna samiczka dostawszy zamiast kokonu papierową kulkę toczyła ją cierpliwie wyczekując potomstwa. Gdy jednak nadszedł czas wykluwania się młodych, a nic się nie okazywało, zirytowana rzuciła kulkę do wody. Tłukła się jednak jeszcze jakaś nadzieja doczekania się dzieciątek w jej pajęczym móżdżku, bo po chwili znów kulkę z wody wyjęła. Że to jednak w świecie niema światła bez cieni, mają i pająki ciemne strony w swoim charakterze. Przedewszystkiem wielka ich krwiożerczość

Wybaczamy im chętnie polowanie na muchy i inne owady. Owszem zasługują pod tym względem na ochronę i zaliczenie do bardzo pożytecznych zwierząt, oddających n. p. w stajniach i oborach wielkie usługi. Specjalnie wdzięczni być powinniśmy pająkom za tępienie komarów widliszków, roznosicieli zarazy malarycznej. Oburza nas jednak zjadanie się ich między sobą i bezprzykładne mordowanie samców przez samiczki i to nie jak n. p. u pszczół w perspektywie zimowego głodu, ale poprostu „na pieczeń".

Wszystkie prawie pająki są jadowite.

Z naszych krajowych pająków szkodzi człowiekowi, wywołując miejscowe zaognienie, tylko kilka większych gatunków. Wśród zagranicznych gatunków istnieją bardzo niebezpieczne. Plagą stepów azjatyckich i wschodnio-europejskich jest czarny, wysmukły pajączek, wcale przystojny ze swemi 13 krwistemi plamkami, a przecie opatrzony przez tubylców groźną nazwą „karakurt" czyli czarny wilk.

Mimo niewinnych pozorów zasługuje na tę nazwę w całej pełni, powodując swem ukąszeniem w język czy wargi śmierć wielu zwierząt a specjalnie wielbłądów. I dla ludzi jego ukąszenie często bywa śmiertelne, a zawsze bardzo niebezpieczne, to też Kirgizi z nad Wołgi panicznie się go boją, żądając podwójnej zapłaty za pracę na miejscach, gdzie się karakurt pojawia. Znacznie mniej niebezpieczna jest włoska tarantula.

Ale wróćmy do naszej nitki pajęczej. Przypatrzmy się jej jeszcze, gdy utkana w subtelną siatkę, staje się narzędziem śmierci. Jeśli aparat pajączków-lotników odznaczał się śmiałą prostotą, a nitki oplatające kokon brały miękkość i blask macierzyńskiej miłości, to siatka-pułapka zadziwia przedewszystkiem misterną pomysłowością budowy. Trzy rodzaje podstępów kryje ona w sobie. Albo tworzy labirynt splątanych nitek, z których wyjścia znaleść nie może trzepocąca się nadaremnie mucha, albo posiada chytrze wplecione siatki klejowe, do których przylepia się ofiara, albo wreszcie (jak u skalnych pająków) tworzy jakby parasol napięty zapomocą grubszych nitek-linek, które zwierzątko trzyma w łapkach. Gdy drgnienie linki zwiastuje myśliwemu, że zwierzyna

weszła w zatrzask, wówczas puszcza on linkę przedniemi nóżkami, przytrzymując tylko tylnemi przez co linka się wydłuża i zatrzask zapada, więżąc skazańca. Każda siatka, szczególniej krzyżaków, jest istnem arcydziełem, wyposażonem w swoisty aparat telefoniczny, co jest tem ciekawsze, że pająki jak się przekonano, często kierują się słuchem nie posiadając jednak wcale uszu.

A słyszą — zgadnijcie czem... nogami! Nogi ich obrośnięte są dwoma rodzajami włosków, z których jedne służą jako zmysł dotyku, a drugie są niezmiernie wrażliwe na fale dźwiękowe i tkwią w specjalnych zagłębieniach słuchowowych, niemi więc wedle wszelkiego prawdopodobieństwa pająk słyszy. Nitka pajęcza jest cieńsza od najsubtelniej wyklepanych nitek srebrnych i dlatego niekiedy zastępują w przyrządach optycznych srebrne nitki pajęczemi. O cienkości nitki pajęczej daje pojęcie to, że na otrzymanie jedwabiu do szycia trzeba skręcić 18.000 włókienek pajęczych.

A czy wiecie, że ludzka przedsiębiorczość i cierpliwość próbowała już nawet napinać na warsztat tkacki subtelną przędzę pajęczych nici. Że na wystawie wszechświatowej w Paryżu podziwiano rękawiczki, ba! całą suknię ślubną dosłownie z pajęczej przędzy utkaną!

M. S.

PIERWSZA MIŁOŚĆ MARYNKI.

6)

Kochana Marynko!

Zniknęłaś ze Lwowa jak cień! Myślałyśmy, że zielony karnawał sprowadzi cię z powrotem, nawet byłyśmy tego pewne. Ale powiadają niektórzy, że wolisz mierzyć twoje sukcesy miarą wzbudzonych tęsknot. Może to i dobry system, bo często słychać na ulicach Lwowa westchnienia, gdzie się podziała panna Marynka... Ale ponieważ tęsknoty są zwykle wzajemne, więc przypuszczamy, że i ty wśród romantycznej wiejskiej wiosny marzysz i smucisz się. Posyłamy ci więc dwie fotografje: jedną żeby ci pokazać jak wygląda tęskny młodzieniec, drugą żebyś widziała jak go sumiennie pocieszamy po twoim wyjeździe... Bądź więc zupełnie o niego spokojna, nie ma na razie zamiaru odebrania sobie życia. Zresztą nie miałby teraz na to czasu, bo zaczynają się wyścigi, karnawał bardzo ożywiony, masę balów, rautów, wycieczek za miasto itd. i twój adorator głęboko chowa swoje miłosne strapienia i jest jak zawsze najweselszym danserem i najmilszym towarzyszem. Często zresztą z nim o tobie mówimy. Jeśli nie wierzysz, to przyjedź skontrolować nasze wiadomości. Ściskamy cię serdecznie. Pan Tomasz ci się kłania.

Jadzia i *Ela.*

W miarę czytania twarz Marynki oblewała się krwawym rumieńcem, ręce jej drżały, w gardle coś dławiło.

— Od kogo masz list, Marynko — pytała mama nie podnosząc oczu od gazety.

— Nie, nic, od koleżanki — bąkała Mrynka i nagle zerwała się i wybiegła z pokoju.

Równocześnie rozległ się na korytarzu głos obiadowego gongu.

— Marynko, obiad gdzie idziesz? — zawołała mama.

— Zaraz wrócę, muszę ręce umyć.

Marynka jak bomba wpadła do swego pokoju.

— Podłe, podłe, obrzydliwe! i on każe mi się kłaniać w takim liście! Pewnie go czytał, pewnie pomagał pisać, przecież o mnie często rozmawiają...

Gniew i oburzenie stłumiły wszystkie inne uczucia w Marynce. Chwyciła nie-

szczęsny list i fotografje, podarła wszystko w drobne kawałki i z najwyższą furją wrzuciła do kosza.

— I ja mogłam się kochać w takim człowieku, w takim potworze, bez serca, bez delikatności. Ładnie mnie kochał! Obrzucał kwiatami, klękał, a poza oczy kpił ze mnie i mojej głupoty. Niech sobie teraz flirtuje z Jadzią i Elą. Niech się z niemi żeni, wszystko mi jedno. Niecierpię go, nienawidzę.

Cała złość Marynki kierowała się na pana Tomasza. Każdy jej nerw drgał z oburzenia. Krew uderzała do głowy i mąciła myśli.

Przez rozszalałe myśli Marynki zaczęły przebiegać myśli zemsty, jak złe, ponure błyski.

— Co zrobić? jak mu okazać dostatecznie moją obojętność? Jak dokuczyć? Zakochać się w kim innym? Wyjść za mąż? Tak, koniecznie, jak najprędzej. Jechać gdzieś do miasta, bawić się, flirtować. Najlepiej do Lwowa, żeby widział, jak jej nic a nic na nim nie zależy. Odpisać tym głupim pannom, tak, żeby i im i jemu list w pięty poszedł!

Ale nie było czasu na dokładne obmyślanie tych planów. Narazie trzeba było iść na obiad.

Marynka przygładziła przed lustrem włosy, przetarła twarz mokrym ręcznikiem i zeszła do sali jadalnej.

Siedzieli już wszyscy przy stole. Spóźnienie Marynki przeszło niepostrzeżenie, bo właśnie przyszła wiadomość, że po obiedzie przyjedzie cały Dobrocin na tenis. Marynka musiała wziąć czynny udział w omówieniu całej organizacji popołudnia. Trzeba zaraz po obiedzie poprawić linje na tenisie, naciągnąć siatkę, zamówić dzieci do zbierania piłek. Podwieczorek najlepiej będzie zanieść do ogrodu, żeby nie tracić czasu. Marynka, która zajmuje się gospodarstwem, musi wszystko zadysponować i wydać, żeby potem nie przerywać sobie gry.

Zaraz więc po obiedzie zaczęła się krzątać po domu i ogrodzie, potem musiała się przebrać, potem przyjechał Dobrocin, grano w tenisa i dopiero wieczorem Marynka znalazła się znów sam na sam, ze swemi myślami i zgryzotą.

Była tak zmęczona i wyczerpana ruchem, grą i hałasem, a przedewszystkiem przymusową swą wesołością i spokojem, że nawet rakiety nie zakręciła w prasę, tylko rzuciła na łóżko, a sama usiadła wyczerpana i przybita na kanapie pod lampą.

Wiedziała, że spotkała ją dziś wielka przykrość. Miała poczucie doznanej krzywdy .

— Ach ten list Jadzi i Eli!

Oparła łokcie na kolanach i ukryła twarz w dłoniach.

Nie czuła już tego gniewu i oburzenia co w południe, tylko jakiś ogromny, gorzki, krzywdzący smutek.

Dlaczego go napisały? Co ona im zrobiła? Taki zły, okrutny list.

Pamiętała każde jego słowo, każda zgłoska była wyciśnięta bolesnem piętnem w obolałem sercu.

Myśli Marynki zasępiały się coraz bardziej. Czuła jakiś niesmak i gorycz. Więc niema na świecie prawdy i szczerości, jest tylko złość, podstęp i udawanie. Więc to jest ta złość ludzka, o której słyszała od starszych i czytała w książkach. Więc naprawdę nie można nikomu wierzyć. Jak rozeznać w takim razie miłość od oszustwa, nadzieję od iluzji?

Wśród smutku i zniechęcenia poczuła, że ona, Marynka, jest już nie jakąś tam dziewczynką, ale zupełnie dorosłą osobą, której ludzie źle życzą i dokuczają. Już teraz wie co jest zawód i rozczarowanie, już wie, że nie można nikomu wierzyć, choćby u nóg klęczał i kwiatami obrzucał. Ale zarazem poczuła ogromną niechęć i obrzydzenie. Nie odpisze na ten list, bo co odpisać? Trzebaby pisać rzeczy złe i zgryźliwe. Co ją zresztą obchodzi, co sobie tam te panny myślą.

I myśl jej zwróciła się do tego, co bolało najgłębiej: więc on, pan Tomasz bawi się doskonale, flirtuje, o Marynce nie myśli. Wzbierała nowa faza goryczy

i smutku. Na czem budowała swe iluzje? Nie pożegnał się z nią, nie dał o sobie znaku życia. Nie potrzeba było tego listu, żeby się domyślić prawdy...

Po południu zdawało jej się, że nienawidzi pana Tomasza, że nie dba o niego. Nie, nie prawda; kocha go bardziej niż kiedykolwiek, tylko on jej nie kocha, tylko nie trzeba się łudzić dalej, tylko trzeba sobie powiedzieć szczerze, że to kochanie wyda nie plon szczęśliwości, ale plon łez i bólu. A jeśli on jej nie kocha, to się ożeni z kim innym, jej będzie unikał i może — może — nie zobaczy go nigdy! Ogromna tęsknota zalała w sercu Marynki wszystkie inne uczucia. Poczuła, że jakaś ciepła wilgoć przesłania jej oczy.

Wstała z kanapy. Podeszła do kosza, do którego wrzuciła szczątki listu i fotografij. Siadła na ziemi i powoli, uważnie zaczęła z niego wyjmować papierki, puste pudełka, zmięte koperty. Są kawałki podartych fotografij. Podarła je tak drobno, że trudno coś uratować. Ach! głowa została cała na tej fotografji, gdzie jest sam... Taka żywa, dobra głowa! patrzy wprost w oczy. Tak samo wyglądał, gdy jej mówił o szczęściu, słońcu i wsi... Temi samemi oczyma mówi jej teraz o tęsknocie i smutku.

Marynka bierze podartą fotografję i siada przy biurku. Nie, nie wyrzuci jej. On jej nie kocha. Ale ona nie uwierzy, żeby był taki zły, żeby się jej uczuciem bawił. Nie, te oczy nie kłamały wtedy, kiedy tak jasno w nią patrzyły. Nagle zrozumiała Marynka, że pan Tomasz tego listu nie pisał, że o nim nie wiedział, że go skrzywdziła podejrzeniem. Marynka całą mocą niechcącego zatruć się jadem zwątpienia serca broniła swojej minionej sielanki. Czuła, że jeśli zwątpi w prawdę tego swego minionego szczęścia, nie znajdzie siły na dalsze życie.

Bo dalsze życie będzie jednak bardzo smutne. Co będzie? A no, nic, będzie tak żyła, jak dotąd, jak Pan Bóg da. Wie, że będzie dalej żyć, chce żyć, tylko — tylko wielkie gorące łzy zaczęły kapać na czerwoną bibułę biurka. Wsiąkały w nią zostawiając małe mokre plamki. Płynęły ciche, zwycięskie łzy, niszcząc w sercu Marynki posiew goryczy i sceptyzmu.

Ale trzeba schować tę biedną odartą fotografję. Gdzie ją włożyć, żeby nie wpadła w niczyje ręce, żeby nie wydała łzami oblanego sekretu?

Marynka rozgląda się po pokoju, szukając dość dyskretnej kryjówki. Na półce za biurkiem leży w starem, trochę zniszczonem pudełku pamiątkowy medal Aleksandra Fredry. Tego nikt nie rusza, nikt nie ogląda. Marynka wsuwa uratowany szczątek między wypełzły zielony aksamit pudełka a w bronzie odlany profil Fredry. Zamyka pudełko na haczyk i odkłada na półkę.

Tam nie znajdzie go nikt.

IV.

I zaczęły znów płynąć głuche, milczące tygodnie. Tylko już Marynka nie wyczekiwała niespodzianki, tylko nie biegła odbierać skórzanej torby od głupiego Jasia.

(Dok. n.) *Zofja Morstinowa.*

BIAŁY GOŁĄB — ZWIASTUNEM SZCZĘŚCIA.

Od połowy września 1683 roku, żyła Rzeczpospolita wrażeniem wiedeńskiej wiktorji. Płynęły pod polskiem niebem hymny radości, w kościołach brzmiały pieśni, pełne dziękczynień.

Pamiętny ów rok dobiegał kresu, a jeszcze nie cichły echa orężnych triumfów. Bowiem wracały zwolna do kraju chorągwie, przybywała szlachta do rodzinnych pieleszy. Toż wszędy, po miastach i dworach snuły się opowieści, toczyły dyskursy, nowych dodatków pełne.

Pewnego wieczora mieszkańcy Żarnówki spożywszy wczas wieczerzę, siedzieli społem w salce stołowej. Na kominku trzaskał ogień, szybki okienne powlekał mróz grudniowy lodem.

Chorążyna naprawiała bieliznę, ciotka Ludmiła kładła pasjanse, Basia grała w szachy z panem Ksawerym.

Pani Żarska odłożyła robotę i zeszła do izby czeladnej z jakiemś zleceniem, gdy rozległ się tętent konia, który ucichł w dziedzińcu. Po chwili wszedł do izby obcy jakiś człowiek i z czapką w ręku pozdrowił obecnych:

— Pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków! — odrzekła chorążyna i zapytała uprzejmie:

— A czegoż to chcecie, człowieku?

Przybysz, skrobiąc się w głowę, powiedział:

— Proszę pokornie, aby ktoś zechciał mnie zaprowadzić do kowala. — Że to dzianet pana rotmistrza zgubił podkowę.

— Szymonie, zaprowadzicie tego człowieka do kowalów — poleciła chorążyna.

Jeszcze tych słów nie domówiła, gdy we drzwiach ukazał się sam rotmistrz Osoba jego sprawiła na pani Żarskiej wielce miłe wrażenie.

Gość skłonił się jej do kolan, ucałował rękę i zaczął:

— Przepraszam z góry za mimowolną subjekcję...

— Toż przecie bagatela! — uśmiechnęła się pani domu. — Ale kowal już pewno śpi. Tedy radzę waszmości odłożyć do jutra podkucie konia i noc przepędzić pod moim dachem.

— Dzięki za łaskawe zaprosiny!

Znów głowę schylając, dodał:

— Jejmość dobrodziejka raczy zezwolić, że wyjawię moje nazwisko: Kazimierz Sierpiński, rotmistrz z pod chorągwi miłościwego króla.

Pani Żarska drgnęła, obrzucając gościa badawczem spojrzeniem: wiedziała od Basi o jego niefortunnych oświadczynach. Teraz on zaczął:

— Pojęcia nie mam, do jakiego dworu przywiodła mnie życzliwa gwiazda...

— Jesteś waszmość w Żarnówce. Nieboszczyk mój mąż był ongi chorążym także w pułku Sobieskich.

Słowa te zrobiły na rotmistrzu pewne wrażenie. Przecierając dłonią czoło, powiedział:

— Aaa... ani przypuszczałem, że znajdę oto gościnę u czcigodnej matki chorążanki Żarskiej, znajomej mojej z Jaworowa!

Pani domu poczynała żałować pierwotnych zaprosin w obawie, czy taki gość będzie mile przez Basię widzianym...

Lecz odniosła zwycięstwo staropolska gościnność. Poleciwszy więc służbie, by przyniosła dla pana i sługi ciepłą wieczerzę, chorążyna rzekła z uśmiechem:

— Proszę za mną. Musiał waszmość

oziębnąć srodze w podróży, trzeba tedy ogrzać się czemprędzej.

Wyprzedziła gościa i zatrzymując się w progu jadalni, oznajmiła wesoło:

— Nie zgadłabyś, Basiu, co za gość zabłądził do naszego dworu... Znajomek twój z jaworowskich czasów: imci pan rotmistrz Sierpiński.

Basia zerwała się z miejsca, mieszając rękawem figurki szachowe, ku zgorszeniu pana Ksawerego. Krew buchnęła jej do twarzy, oddech zaparło wzruszenie. Trwało to jednak krótko. Opanowała się, zanim rotmistrz zdołał przestąpić próg komnaty.

Młodzi przywitali się z chłodną obojętnością, choć sercami obojga targał huragan wspomnień.

Ciężkie, krępujące były te pierwsze chwile; lecz zwolna, przyjemny tworzył się nastrój. Bowiem Sierpiński wrócił świeżo z wiedeńskiej wyprawy, co wielce przejęło pana Ksawerego.

Zasypał staruszek gościa gradem wypytań, ani zważając, że należałoby poczekać, aż ten ukończy wieczerzę. Jednak rotmistrz doskonale się wczuwał w duchową treść rezydenta, gdyż z wielkiem wyrozumieniem jął zaspakajać jego ciekawość.

Pan Ksawery położył jedną rękę na kolanach rotmistrza, drugą trzymał przy uchu i słuchał, słuchał. Stary nudziarz niejednego nie dosłyszał, o drugiem wprędce zapomniał, o toż samo pytając. Sierpiński wyjaśniał mu rzecz powtórnie, bez cienia niechęci.

Wreszcie zadowolony rezydent wstał, bo stare kości miękkie nęciło łoże. Odchodząc, dziękował gościowi, a ręce serdecznie mu ściskał.

Z kolei czepiła się rycerza ciotka Ludmiła. Sierpiński znalazł i dla starej panny ciekawe szczegóły.

— Po wiedeńskiej wiktorji — mówił — posłał był król jegomość Ojcu św. chorągiew Mahometa, zaś w liście donosił:

„Przyszedłem, ujrzałem — Bóg zwyciężył!“

Papież Innocenty XI. kazał tę cenną pamiątkę zawiesić w Watykanie. Wystawił też w Rzymie słup z stosownym napisem na cześć Sobieskiego i posłał królowi przepiękne insygnia rycerskie, ze słowami:

„Obrońcy wiary chrześcijańskiej“.

A chcąc uwiecznić samo zwycięstwo, papież ustanowił nową uroczystość na chwałę Najświętszej Panny.*)

Żółtą, pomarańczową twarz ciotki Ludmiły ożywił ceglasty rumieniec. Głos serca naglił jącoraz to bardziej, by gorącą modlitwą podziękować Wszechmocnemu za oną chwałę, którą raczył zesłać Rzeczypospolitej.

Podniosła się tedy, siwe przygładziła nioby, a dygnąwszy pięknie rotmistrzowi — wyszła z jadalni.

Chorążanka wdzięczną była gościowi, iż sprawił tak wielką przyjemność staruszkom.

Zostali się teraz we troje. Sierpiński widząc, że panią domu wielce zajmuje przebieg całej wyprawy, snuł z upodobaniem dalszą nić wspomnień.

— W powrotnej drodze przez Węgry, dotarliśmy do mostu nad Dunajem, niedaleko miasteczka Parkany, gdzie przyszło nam zaznać zmienności wojennych losów...

Król jegomość rozłożył się opodal obozem. Tknięty niedobrem jakiemś przeczuciem, wysłał był miłościwy pan raniutko gońców do naszej piechoty, do naszych dział, które zostały się w tyle. iżby do obozu przybyły, nie zwlekając. Zasię przednie straże miały ruszyć naprzód, by pozabierać nasze łodzie na Dunaju; nie puszczać się wszakże zbyt daleko, a mieć się w ciągłej baczności.

Zlekceważyły chorągwie królewski rozkaz: zabrnąwszy nieopatrznie pod samiutki most, natknęły się na wielką armję turecką... Odrazu zakipiał bój. Do króla jegomości leciał goniec za gońcem; a tu — brakło piechoty, brakło dział!

Pomnę — że to byłem w onych opa-

*) 12 września uroczystość Imiena Marji (przyp. Red).

łach — dzień nastał jesienny, słotny, ponury. Chorągwie śpieszyły do boju bez pieśni, bez zapału. Na dobitek złego, zabiegał nam ciągle drogę czarny pies-przybłęda; także ptak — orzeł czarny, przeleciawszy nad wojskiem, zniknął za nami.

Tedy strach zabobonny ogarnął serca.

Nic nie wskórali dragoni hetmana Jabłonowskiego, którzy pierwsi pospieszyli z pomocą; nie pomogły hufce króla jegomości, ba, nawet jego współudział w walce... Bowiem rychło chwiać się zaczynał bojowy szyk naszych: wszczął się okrutny zamęt, rozgardjasz i dragoni społem z piechotą rzucili się do sromotnej ucieczki... Próżno Jan Sobieski krzyczał, zaklinał, nawracał ludzi w imię Boga, na honor Ojczyzny...

Gorycz onej chwili zatamowała głos Sierpińskiemu. Po dłuższej, dopiero przerwie, ciągnął:

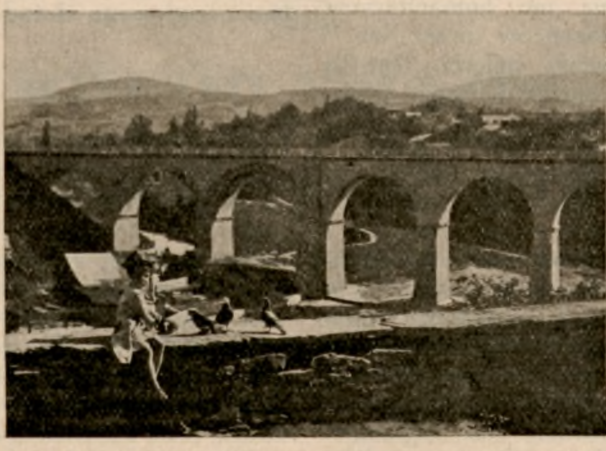
Pan Jabłonowski i drudzy, widząc, co się dzieje, zaczęli błagać króla jegomości, by ten salwował się ucieczką. Ale Sobieski trwał niewzruszenie wśród onego piekła; w ostatecznej dopiero chwili dał się nakłonić do opuszczenia pola bitwy...

Toż nie dziwota, że wieść gruchnęła po onem wojsku, co zostało się w tyle, jako Sobieski był zabit. Snać Opatrzność czuwała nad królem, że nietylko wyszedł cało z onej opresji, ale nawet nie zachorzał po niej. Bowiem nagryzł się był Sobieski okrutnie takowym wstydem a klęską, widząc w niej zepsucie sławy polskiego narodu.

Rotmistrz zamilkł znowu. Pani Żarska słuchała blada ze wzruszenia, przeciwnie Basia dostała gorączkowych wypieków.

(Dok. nast.) *Wisława.*

Z WYCIECZEK PO KRAJU - GRYBÓW.



Wiadukt kolejowy na przestrzeni: Grybów—Nowy Sącz.

ZE ŚWIATA.

Jako jeden z najważniejszych wypadków politycznych w ciągu lata należy zanotować fakt **krwawej rewolty we Wiedniu.** Mianowicie na skutek uwolnienia przez sąd przysięgły członków bojówki prawicowej, (którzy byli obwinieni o pobicie lewicowców) wybuchły zaburzenia o b. poważnym charakterze. Doszło do walki, która trwała jednak tylko dzień. Rewoltę stłumiono, ofiarą padł pałac sprawiedliwości, spalony przez motłoch — oraz znajdujące się w nim akta sądowe, między niemi niektóre o wartości historycznej.

W Ameryce na pierwszy plan wybija się **sprawa Sacco i Vanzetti**'ego dwóch komunistów skazanych obecnie na śmierć za morderstwo rabunkowe przed 7-miu laty. Wykonanie wyroku oddalano z roku na rok — bowiem prezydent nie mógł się zdecydować na podpisanie wyroku. Obecnie wyrok został wykonany — mordercy straceni na elektrycznem krześle. Sprawa ważna, ponieważ partja socjalistyczna i komuniści na całym świecie rozpoczęli akcję, mającą na celu przekonanie świata o niewinności oskarżonych i rewizję procesu. Nic jednak nie uzyskali, ani drogą zamachów, bomb i t. p. wymuszeń — ani też apelując do miłosierdzia sędziów. Należy zaznaczyć, że za skazańcami wstawiało się dużo znanych i szanownych osobistości. Bezwiątpienia nie humanitarnem było trzymanie skazańców przez lat 7 w ciągłem oczekiwaniu śmierci. Jest to kara gorsza od samego odebrania życia.

Na forum **Ligi narodów** dyskutuje się obecnie projekt paktu nieagressji (t. zn. zobowiązania się przez wszystkie państwa do wyrzeczenia się wojny i do oddawania sporów pod arbitraż). Projekt wniesiony został przez Polskę. Jednocześnie wnosi inny Holandja.

W Polsce opinję publiczną zajmuje sprawa tajemniczego **zniknięcia jen. Zagórskiego.** Był on uwięziony po wypadkach majowych, jako oskarżony o nadużycia przy dostawach lotniczych. 6. sierpnia zwolniono go z więzienia, od tego czasu ślad po nim zaginął. Śledztwo w toku, wyniki są trzymane na razie w tajemnicy.

Proces o nadużycia przy dostawach masek ochronnych przeciw gazom zakończył się skazaniem jen. Żymirskiego na 5 lat więzienia.

Zanotować należy jeszcze fakt **zabicia Trajkowicza** w poselstwie sowieckiem. Jest to rosjanin, polski poddany — należący do związku monarchistów rosyjskich, który miał podobno rzucić się na jednego z przedstawicieli poselstwa i ranić go — w następstwie czego zastrzelono go w obronie własnej. Są pogłoski, jakoby sowieci wciągnęli go w zasadzkę, chcąc się pozbyć niewygodnego nieprzyjaciela. Wyniki śledztwa urzędowego dotąd nie ogłoszone.

G.

RÓŻNE WIADOMOŚCI.

Obraz Matki Boskiej, zwany Kodeńskim, tak drogi sercu ludu podlaskiego, przed laty wywieziony z rozkazu rządu rosyjskiego do Częstochowy, obecnie po dłuższym pobycie na Zamku w Warszawie, został uroczyście przeniesiony na dawne miejsce do Kodnia nad Bugiem.

Klęska powodzi, jaka nawiedziła wschodnią Małopolskę wskutek wylewu Dniestru, Sanu, Tyśmienicy, spowodowała ogromne straty. Rozwalone domy, pozrywane mosty, tysiące ludzi bez dachu i chleba. Wiele ofiar w ludziach. W całym kraju tworzą się komitety, zbierające datki dla powodzian, gdyż pomoc rządowa, choć znaczna — nie wystarcza.

Patron lotników. Lotnicy wybrali sobie za patrona ks. Karola Carnus, uro-

dzonego w r. 1749 w Aveyon, beatyfikowanego w październiku 1926 r., męczennika rewolucji francuskiej. Ks. Carnus, fizyk z wykształcenia, zajmując się z zamiłowaniem awiacją, wzniósł się jeden z pierwszych balonem na znaczną wysokość i już przed 150 laty zdołał utrzymać się w powietrzu w ciągu 35 minut.

Reklama świetlna. Jeden z inżynierów amerykańskich wpadł na pomysł reklamy przez rzucanie odpowiednich obrazów w nocy na nisko wiszące chmury; zbudowane w tym celu specjalne reflektory rzucają obraz na odległość.

Kinematograf pod ziemią. W jednej z kopalń amerykańskich Stanów Zjednoczonych zarząd urządził dla robotników kinematograf w dawnej sali wiertniczej na głębokości 235 metrów pod ziemią. Oprócz obrazów pouczających górników o niebezpieczeństwach, grożących im w kopalni i o odpowiednich środkach zaradczych, wyświetlane są obrazy dla rozrywki tych pracowników podziemi. Górnicy garną się chętnie do tej rozrywki, łącząc pożyteczne z przyjemnem.

50-cio lecie gramofonu. W maju odbyła się w Instytucie fonograficznym w Paryżu, a równocześnie w sali Sorbony, uroczystość 50-cio lecia gramofonu; wynalazcą jego jeszcze przed Edisonem był poeta-matematyk-fizyk Guy Cross, który 13. kwietnia 1877 roku przedłożył plany gramofonu sekretarzowi Instytutu — ale przedstawienia jego o maszynie naśladującej głos ludzki, nie zyskały uznania. Cross był również wynalazcą fotografji kolorowej. Nie oceniono jednak jego zasług — zmarł w zapomnieniu i prawie nędzy... Dopiero niedawno, dzięki staraniom jedynego syna zmarłego, odszukano dokumenta i plany „maszyny mówiącej" — a potomność oddała cześć zasługom dawno zmarłego i długo nieznanego wynalazcy.

Domy na... ołówki. Jakość ołówka zależy w dużej mierze od gatunku drzewa, stanowiącego oprawę pałeczki grafitowej. Najlepszy jest z cedru czerwonego, rosnącego w Ameryce, rabunkowa jednak gospodarka leśna sprawiła, że ceny na to drzewo, które stało się niesłychanie rzadkie, wzrosły w sposób fantastyczny. Fabrykanci poczęli szukać starych cedrów, już przerobionych w innych celach. Traf sprowadził ich do Tenessee, gdzie duża ilość domów posiada wszystkie belki i wiązania z tego, tak cennego dziś cedru czerwonego, a który w zeszłym wieku nie był jeszcze rzadkością. Przemysłowcy zakupili hurtem wszystkie te budowle, które przekształcą się w ołówki, i zobowiązali się wznieść na ich miejsce nowe, z całym komfortem urządzone. Podobno obie strony dokonały korzystnej transakcji.

WŚRÓD KSIĄŻEK.

Listy O. Jana Beyzyma T. J. Apostoła trędowatych na Madagaskarze. Wydanie V-te. Kraków 1927. Nakładem wydawnictwa księży Jezuitów.

Listy O. Beyzyma — to dzieje 14 lat mozolnej pracy i wiernego poświęcenia człowieka o prawdziwie chrześcijańskiem sercu i niezłomnym harcie duszy, który życie poświęcił pielęgnowaniu dusz i ciał budzących wstręt i odrazę, trędowatych. Listy te — to film zwykłych napozór, codziennych dobrych uczynków i posług, do spełniania których trzeba jednak heroicznego zaparcia się i wytrwałości. Ale O. Beyzym — to duch wielki i bohaterski, a jednocześnie tak nieskończenie prosty i naturalny, że z kart swych listów spogląda ku nam, jak ktoś niezmiernie nam bliski i swojski. I w prostych niewyszukanych słowach opowiada o swej pracy, jak o czemś bardzo naturalnem, z najczulszą miłością mówi o swych „czarnych pisklętach", całem sercem interesuje się nietylko losem swoich chorych, ale także ich zwyczajami i życiem poza ścianami schroniska, Życie Malgaszów opisuje stylem żywym i w sposób ogromnie interesujący, to też książkę całą czyta się z dużem zajęciem.

Warto, by listy O. Beyzyma znalazły jak najwięcej czytelników i czytelniczek, którzyby umieli

znaleść w nich nietylko ciekawe szczegóły etnograficzne, lecz zaczerpnąć choć trochę tego ducha prawdziwie chrześcijańskiej miłości i wytrwałej pracy, jakim cała książka jest przepojona.

Warto szczególniej, by z książką tą zapoznała się młodzież polska i umiała ocenić i pokochać jej autora polaka-apostoła miłości i poświęcenia. *T.*

Czasopisma misyjne: „Misje katolickie", (Kraków — ul. Kopernika 26). „Echo z Afryki", (Kraków — ul. św. Marka 25). „Murzynek", (Kraków — ul. św. Marka 25). „Oblat Niepokalanej", (Krobia — Wkp.). „Młodzież Misyjna", (Warszawa — ul. Lipowa 14). „Mały Misjonarz", (Górna Grupa pod Grudziądzem).

Wiadomości misyjne podają nadto: „Cześć Marji", (Innowrocław). „Pod znakiem Marji", (Zakopane, Łukaszówki 12). „Dzwonek Marji", (Rybnik — Śląsk).

NASZE SZKOŁY.

Państw. Seminarjum Nauczycielskie w Suwałkach. *J. Sidorkówna.*



WZÓR DO HAFTU.

Gimnazjum SS. Urszulanek w Poznaniu.

A KIEDY SMUTNO CI...

A kiedy smutno ci na świecie,
I w sercu czujesz gorzki żal;
Pójdź do Jezusa biedne dziecię,
A On twą myśl skieruje w dal...

Myśl twoja będzie bujać w niebie,
Tam, hen do rajskich sięgnie bram;
Chrystus przytuli cię do Siebie,
Pan, co się cały daje nam...

On, Król, zrozumie twe pragnienie,
Pojmie twe walki, chęci, łzy;
U stóp Jezusa ukojenie,
Tam, w raju jasno... kwitną bzy...

Maryja, Matka łzy Twe otrze,
Obdarzy Swem spojrzeniem cię;
Przed Synem prośby Twoje poprze,
I powie ci: „Uspokój się!..."

. . . .

A serce twe, jak ogień będzie,
Najwyższa moc rozpali go,
Będzie kochało zawsze, wszędzie,
Stwórcę i Zbawcę swojego!... *M. T.*

OD REDAKCJI.

Praca szkolna w pełnym biegu, w szkołach gwar, a w sercach dziewczątek naszych tyle dobrych postanowień, tyle szlachetnych zamierzeń na ten nowy rok — ną życie nowe. Chcecie je całe wypełnić czynem — dużo zdziałać dobrego dla siebie, dla swych bliższych i dalszych, dla wszystkich...

Ale czy pamiętacia, że życie z chwil się składa? — z chwil, co mkną szybko, nieznacznie mijają...

Czy zastanowiłyście się nad tem, co robicie z temi chwilami, które pozostają po przygotowani lekcyj, po ukończeniu obowiązkowych zajęć? Czem zapełniacie te kwadranse, te półgodziny o których zwykło się mówić: „już nie warto nic zaczynać", lub „już nic przez ten czas nie zrobię"? Obserwujcie siebie przez jakiś tydzień. Zdaje mi się, że niejedna zauważy, iż wiele chwil idzie na marne — upływa ot tak sobie, nie wiadom na czem. Tu się pójdzie, tam się zajrzy, trochę się porozmawia, lu pobrzdąka na fortepianie, zacznie się pisać pamiętnik, przerzuci się jakąś książkę — a wszystko bezmyślnie „po łebkach", bo „już nie warto" zrobić coś porządnie.

A czas ucieka i — nie wraca...

Zastanówcie się czem możnaby wypełnić te minuty i kwadranse. Może która z Was poda projekty różnych zajęć na te krótkie chwile?

Róbcie coś, na co macie ochotę, do czego czujecie zamiłowanie, ale niech to będzie coś wartościowego coś, czego spełnenie da Wam i waszym bliskim zadowolenie, że dzień nie przeszedł marnie — żeście go wypełniły czynem po brzegi.

Loczku pojmuję, że to przykro mimo celującego świadectwa klasę repetować — ale w tej przykrości można znaleść dobrą stronę. Będziesz miała więcej wolnego czasu na swe ulubione, programem szkolnym nie objęte, zajęcia. Jakże ci się podoba nowa szkoła? Gdzie lepiej? List przesłany do „Gawęd" miał charakter zbyt osobisty, więc go nie umieszczono tym razem, ale gdy w swych listach poruszysz jakiś temat, który mógłby zainteresować także inne „Gawędziarki" i wywołać ogólną dyskusję — to z pewnością tak listy, jak i dpowiedzi adresatki znajdą się na łamach naszego pisemka.

Tę odpowiedź kieruję do licznych szeregów „Gawędziarek", które może dziwią się, że ich listy dotąd nie drukowane. Nie będziemy też już drukowali listów przed wakacjami przysłanych. Z nowym rokiem szkolnym oczekuję nowych wiadomości od dawnych i nowych „Gawędziarek".

Victoria Regia niech tak nie stroni od ludzi, bo ani w przyrodzie, ani w nauce nie znajdzie tyle piękna, co w duszy ludzkiej. Kluczem do tych skarbów — dobroć i ufność. Nie bój się ludzi — gdy masz Boga w sercu. „Gawędziarek" też się nie bój, bo to dobre dziewczątka i z pewnością chętnie z Tobą korespondować będą.

Biruto, za mały liścik dziękuję. Zaszło nieporozumienie wskutek mego wyjazdu. List obszerny wkrótce rzecz Ci wyjaśni.

ŻARCIK MATEMATYCZNY.

Ile masz lat? — Choć mi nie powiesz, zgadnę zaraz tylko zechciej trochę porachować.

Przypomnij sobie w którym miesiącu się urodziłaś i w sekrecie przedemną wykonaj następujące działania: liczbę miesiąca pomnóż przez 2 (n. p. maj jest 5-tym miesiącem w roku więc 5×2). do iloczynu dodaj 5. Otrzymaną sumę pomnóż przez 50. Do iloczynu dodaj liczbę swych lat. Od sumy odejmij 365

Podaj mi tę różnicę. Dodam do niej 115, a otrzymana suma zdradzi twą tajemicę: pierwsza cyfra, lub dwie pierwsze cyfry z lewej strony oznaczą miesiąc w którym się urodziłaś, dwie następne twe lata.

Nie wierzysz? — To się przekonaj!

GAWĘDY PRZYJACIELSKIE.

(Rubryka ta zawiera swobodną wymianę myśli młodych czytelniczek (młodzieży uczącej się). Zwolenniczki jak i przeciwniczki zdań przedkładanych mogą tu głos zabierać. — Przy odpowiedziach należy podawać oprócz pseudonimu adresatki, także **numer** *listu, na który się odpowiada).*

367. Wielbicielka Nauki do Lucynki 357. Bardzo cenię Cię za Twą miłość ku matce. Ja także nad wszystko kocham mą mateczkę i jestem szczęśliwa, że Bóg dał mi taki skarb. Uwielbiam twórcę „Króla Ducha“, który tak kochał swą matkę. Śliczne są jego listy do matki, znasz je pewnie. Jaki zawód uważasz za najodpowiedniejszy dla kobiety?

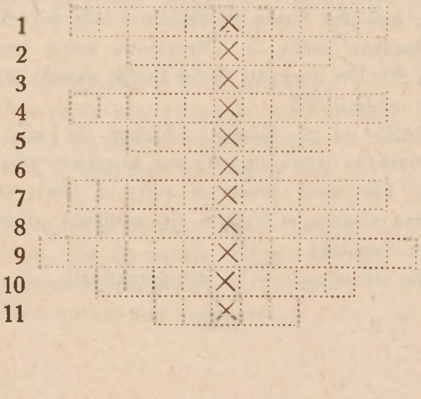
368. Victorja Regia do Gawędziarek. Pragnę przyłączyć się do grona miłych gadułek, nie wiem tylko jak mnie przyjmiecie? Chciałabym przez wspólną wymianę myśli poznać Was, drogie dziewczynki. Proszę odpowiedzcie mi na pytanie: Czy lepiej być idealistką, czy realną?

369 Victorja Regia do Jesiennej Chryzantemy 276 Egzotyczna Victoria Regia zwraca się do Ciebie miły nasz kwiatuszku z prośbą, byś mi wyjaśniła, dlaczego wzięłaś taki pseudonim. Chryzantema robi na mnie wrażenie smutne, podobnie jak rosnące na cmentarzu płaczące wierzby. Czy masz może skłonność do melancholji?

ŁAMIGŁÓWKI.

1. ŁAMIGŁÓWKA LITERACKA
(ułożyła Marysia Holländer).

Kratki oznaczone krzyżykami dadzą nam imię i nazwisko poety polskiego.



Znaczenie wyrazów:

1) Dramat Juljusza Słowackiego. 2) Powieść Żeromskiego. 3) Nowelka Sienkiewicza. 4) Nowelka Prusa. 5) Dzieło Słowackiego. 6) Powieść Rodziewiczówny. 7) Komedja z czasów Sejmu 4-ro letniego. 8) Powieść Czajkowskiego. 9) Powieść Bolesławity. 10) Powieść Mniszkówny. 11) Powieść Prusa.

2. ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA
(ułożyła Marysia Holländer).

Z podanych sylab ułożyć czterowiersz K. Brodzińskiego.

Bo, cho, bie, dzie, dla, cie, cho, ma, cią, nie, por, rób, gle, czy, nie, grób, skoń, ciaż, wie, czysz, czy, ło, nów, czas, wszyst, krót, nas, czas, ko, tu, ko, skoń, ciaż.

3. ŁAMIGŁÓWKA PRZYSŁOWIOWA
(ułoż. Orlę Lechowe).

Z podanych wyrazów, wyjąć po dwie litery, następujące po sobie kolejno, tak, aby nie zmieniając porządku liter, otrzymać znane przysłowie.

Może, żeby, boków, franciszkanin, Janka, jedynie, miska, deptak, kabała, katolik, proboszcz, synek, odnóża, paki, Renia, prezent, perła, lama, łaska.

TREŚĆ Nr. 16.

Warunki prenumeraty „Dziś i Jutro“:
Kwartalnie 3 zł., półrocznie 5 zł. 50 gr., rocznie 10 zł. — W Ameryce 2 dolary.

Za dodatek **„Mój Światek“** prenumerujący „Dziś i Jutro“ dopłacają tylko zł. 1·20 za abonament do końca 192 r.

Adres Redakcji i Administracji: **Kraków, ulica Starowiślna 3.** — Konto P. K. O. 404.930.

Czas odnowić prenumeratę na czwarty kwartał!

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor:
Julja Felicja Bronikowska.
Odbito w Drukarni Polskiej w Krakowie.